

Rozdział 4

Dzień pogrzebu był najgorszym dniem mojego życia.

Stałam przed lustrem ubrana na czarno, wpatrując się w swoje beznadziejne odbicie. Nie mogłam znieść własnego widoku, a jeszcze bardziej tego, jak bardzo tęskniłam za Adrianem. Tak – nie za moim mężem, którego za chwilę miałam pochować, lecz za tym cholernie pięknym, seksownym „szczeniakiem”, dla którego totalnie straciłam głowę.

Nienawidziłam się za to, że w ogóle zaczęłam ten romans. Że mój mąż odszedł właśnie wtedy, gdy szczytowałam w objęciach innego mężczyzny. To, co czułam i miałam w głowie, było kompletnie popieprzone.

Długo myślałam o tym, jak będzie teraz wyglądało moje życie. Bez męża. Bez obowiązków. Bez ciągłego zastanawiania się, co wypada, a czego nie.

Stało się. Paweł odszedł.

Zostawił mnie samą po tylu latach wspólnej drogi. Trudno... tak chciał los. Nic nie mogłam już na to poradzić.

Postanowiłam jednak definitywnie zakończyć coś, co nigdy nie powinno się wydarzyć. Musiałam zapomnieć o Adrianie. O jego

aksamitnej skórze. O zapachu, który wciąż krążył po moim ciele. O głosie, który nadal dudnił mi w uszach.

Ostatni raz spojrzałam w lustro przed wyjściem na ceremonię pożegnalną.

Wyglądałam dobrze. Chciałam godnie pożegnać mego męża – nie jak wypłuta, zmęczona życiem mysz spod miotły.

Mała czarna sięgająca kolan leżała na mnie idealnie. Cienkie rajstopy pięknie podkreślały moje szczupłe, długie nogi, a koronkowy żakiet dodawał całej stylizacji powagi.

Podjeżdżając pod kościół, czułam, jak z nerwów zbiera mi się na wymioty.

Moje dłonie zrobiły się lodowate i sine, a żołądek zacisnął się w bolesny supeł. Nie mogłam oddychać. Na samą myśl, że ciało mego Pawła za chwilę spocznie głęboko w ziemi, czułam narastający ucisk w klatce piersiowej.

Drzwi kościoła otworzyły się ciężko, a chłodne powietrze uderzyło mnie prosto w twarz. Przez krótką chwilę stałam nieruchomo, próbując zebrać w sobie resztki sił. W środku było tłoczno. Ławki pękały w szwach. Rodzina, znajomi, sąsiedzi, współpracownicy Pawła – wszyscy przyszli pożegnać człowieka, którego kochali i szanowali. Ciche szepty mieszały się z dźwiękiem organów, a dziesiątki spojrzeń momentalnie skierowały się w moją stronę.

Poczułam, jak miękną mi kolana.

Powoli ruszyłam przed siebie, zaciskając palce na czarnej kopertówce tak mocno, że aż pobiełały mi knykcie. Obcasy stuknęły o marmurową posadzkę, odbijając się echem od wysokich ścian świątyni. Każdy krok wydawał się nienaturalnie głośny. Każdy kolejny był coraz trudniejszy.

Szłam środkiem kościoła, wprost do pierwszej ławki, gdzie przygotowano miejsce dla najbliższej rodziny. Starłam się patrzeć tylko przed siebie. Na trumnę. Na kwiaty. Na ołtarz. Gdziekolwiek, byle nie na ludzi.

I wtedy kątem oka ich dostrzegłam.

Iwonka siedziała kilka rzędów dalej. Obok niej był Adrian. Serce momentalnie zamarło mi w piersi. Na widok jego twarzy wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Każdy dotyk. Każdy pocałunek. Jego dłonie błędzące po moim ciele. Jego przyspieszony oddech przy mojej szyi. Tamta noc. Tamten cholerny moment, kiedy zatraciłam się w nim całkowicie... właśnie wtedy, gdy mój mąż umierał.

Boże.

Powietrze ugrzęzło mi w gardle. Adrian spojrzał na mnie dokładnie w tej samej chwili. W jego oczach zobaczyłam coś, czego wcale nie chciałam widzieć – ból, współczucie i coś jeszcze... coś, co tylko pogorszyło mój stan. Pierwsza łza spłynęła po moim policzku, a zaraz za nią następna.

A przecież jeszcze chwilę temu wmawiałam sobie, że jestem pogodzona z odejściem Pawła. Że wypłakałam już wszystko. Że zostało tylko chłodne pogodzenie się z losem.

Kłamałam.

Widok Adriana brutalnie uświadomił mi, jak bardzo oszukiwałam samą siebie. Nie byłam pogodzona z niczym. Ani ze śmiercią mojego męża. Ani z tym, co zrobiłam.

Ani z faktem, że mimo całego tego bólu nadal pragnęłam mężczyzny siedzącego kilka metrów ode mnie. Usiadłam w pierwszej ławce i wbiłam wzrok w trumnę, jakby tylko ona istniała w całym tym kościele. Nie mogłam spojrzeć w bok, za siebie ani na niego.

Czułam obecność Adriana niemal fizycznie – jakby siedział tuż obok mnie, a nie kilka rzędów dalej. Wiedziałam, że tam jest. Wiedziałam, że patrzy. I właśnie dlatego ze wszystkich sił zmuszałam się, żeby nawet na sekundę nie odwrócić głowy.

Choć pragnęłam tego bardziej niż powinnam. Bardziej niż cze-gokolwiek w tej chorej chwili.

Zamiast skupić się na mszy, na słowach księdza, na modlitwie za duszę mojego męża, w głowie wciąż miałam Adriana.

Jego dłonie.

Jego zachrypnięty głos przy moim uchu.

Zapach jego skóry.

Ciepło jego ciała.

Wspomnienie tamtej nocy nad jeziorem wracało do mnie falami tak intensywnie, że robiło mi się niedobrze.

Boże, co było ze mną nie tak?

Mój mąż leżał kilka metrów ode mnie zamknięty w trumnie, a ja zamiast rozpaczać jak pogrążona w żałobie wdowa, myślałam o innym mężczyźnie. O jego ustach. O tym, jak bardzo chciałam znowu poczuć je na swojej skórze.

Czułam się jak obłąkana. Jak potwór.

Zaciskałam dłonie tak mocno, że paznokcie wbijały mi się w skórę, próbując wyrwać się z tych myśli.

Skup się na Pawle.

To jego żegnasz.

To jego właśnie tracisz na zawsze.

Ale im bardziej próbowałam wyrzucić Adriana z głowy, tym wyraźniej wracał. Jak przekleństwo, którego nie potrafiłam się pozbyć.

Kiedy msza dobiegła końca, organista zaczął grać żałobną pieśń, a ludzie powoli zaczęli wstawać z ławek.

Moje serce zaczęło walić jak oszalałe.

Wiedziałam, że za chwilę będę musiała się odwrócić. Spojrzeć na ludzi stojących za mną. Spojrzeć na niego.

Powoli podniosłam się z miejsca. Nogi miałam jak z waty. Odwróciłam się i wtedy nasze spojrzenia się spotkały. Świat na moment przestał istnieć.

Patrzył na mnie w milczeniu, a ja momentalnie poczułam paraliżujący wstyd. Bałam się, że zobaczy wszystko. Całą prawdę, którą desperacko próbowałam ukryć. To, że mimo śmierci mojego męża nadal go pragnęłam. Że moje ciało wciąż pamiętało jego dotyk. Że wystarczyło jedno jego spojrzenie, żebym zaczęła się rozpadać od środka. Modliłam się tylko o jedno. Żeby nie zobaczył w moich oczach tej chorej tęsknoty, nie dostrzegł, jak bardzo nadal go pragnę. Bo wtedy naprawdę znienawidziłabym samą siebie jeszcze bardziej.

Najgorszy był moment na cmentarzu. Ten, którego bałam się najbardziej od chwili, gdy dowiedziałam się o śmierci Pawła. Stałam nad jego grobem, kurczowo ściskając bukiet czerwonych róż, kiedy pracownicy zakładu pogrzebowego zaczęli powoli opuszczać trumnę do ziemi.

I wtedy coś we mnie pękło.

To już nie była msza. Nie były to puste słowa księdza o życiu wiecznym ani współczujące spojrzenia ludzi. To było brutalnie prawdziwe.

Mój mąż naprawdę umarł. Za chwilę zniknie pod ziemią. Za chwilę przysypią go tonami piachu, jakby całe nasze wspólne życie można było zamknąć w drewnianej skrzyni i zakopać kilka metrów pod ziemią.

Patrzyłam jak sparaliżowana, niezdolna się poruszyć.

Kiedy rozbrzmiał przeciągły, przejmujący dźwięk trąbki, po moim ciele przeszedł lodowaty dreszcz. Ta melodia zawsze wydawała mi się smutna. Dzisiaj brzmiała jak ostateczne pożegnanie. Jak zamknięcie wszystkich drzwi.

Ludzie wokół zaczęli cicho szlochać. Ktoś obok mnie ocierał łzy. Ktoś inny szeptał modlitwę. A ja nagle zdałam sobie sprawę z tego, co wydarzy się za chwilę.

Kondolencje.

Dziesiątki uścisków dłoni. Sztuczne słowa współczucia. Przytulenia od ludzi, których ledwo znałam. I wtedy przeszył mnie zupełnie irracjonalny lęk.

Adrian.

Boże... oby tylko do mnie nie podszedł. Oby nie próbował mnie przytulić. Oby nie wyszeptał mi do ucha żadnego „tak mi przykro”.

Na samą myśl, że miałabym poczuć go tak blisko siebie – jego zapach, ciepło jego ciała, jego oddech – kolana niemal się podę mną ugięły. Byłam przerażona samą sobą.

Stałam nad grobem własnego męża, a jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to żeby nie znaleźć się zbyt blisko innego mężczyzny.

Czułam się potwornie. Jak najgorsza kobieta na świecie. A jednak, gdzieś głęboko pod tym strachem kryło się coś jeszcze bardziej przerażającego.

Nie bałam się, że Adrian podejdzie. Bałam się, że jeśli to zrobi... nie będę chciała, żeby odszedł.

Wszyscy wkoło płakali. Ściskali mnie, powtarzali, jak bardzo współczują mi tej sytuacji. Mówili, że Paweł odszedł do lepszego świata. Że taki widocznie był jego los. Że czas leczy rany.

Słyszałam te słowa, ale miałam wrażenie, jakby odbijały się ode mnie i spadały gdzieś obok. Rozumiałam, że ludzie chcieli dobrze. Naprawdę. Ale to wszystko było dla mnie za dużo.

Za dużo twarzy.

Za dużo łez.

Za dużo dotyku.

Za dużo słów, które w tej chwili nie znaczyły absolutnie nic.

Czułam się tak, jakbym stała obok własnego życia i patrzyła na wszystko z daleka.

W końcu podeszła do mnie Iwonka. Zobaczyłam jej zapłakaną twarz i poruszające się usta, ale kompletnie nie słyszałam, co mówi. Ani jednego słowa.

Bo obok niej stał Adrian. I nagle wszystko inne przestało istnieć.

Patrzył na mnie ze smutkiem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziałam.

Boże... miał tak smutne oczy...

I jednocześnie były najpiękniejszymi oczami, jakie kiedykolwiek widziałam.

Ten smutek sprawiał, że wydawał się jeszcze bardziej niebezpiecznie piękny. Jeszcze bardziej prawdziwy.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Serce waliło mi tak mocno, że byłam pewna, iż wszyscy wokół to słyszą.

Kiedy zrobił krok w moją stronę, momentalnie przestałam oddychać. Bałam się, że coś powie. Że wypowie moje imię.

Że szepnie mi do ucha jakieś banalne słowa współczucia.

Ale on nie powiedział nic. Na szczęście...

Po prostu delikatnie ujął moją dłoń. I wtedy przez całe moje ciało przeszedł gwałtowny dreszcz. Jakby ten jeden, niewinny dotyk przypomniał każdą sekundę tamtej nocy.

Każdy jego pocałunek.

Każdy ruch jego dłoni po mojej skórze.

Każdy oddech.

Każde westchnienie.

Spojrzał mi głęboko w oczy. Poważnie. Intensywnie. Tak, jakby chciał mi coś powiedzieć bez słów.

A potem puścił moją rękę... i odszedł. A ja miałam ochotę pobiec za nim. I za tę myśl nienawidziłam siebie jeszcze bardziej.

Po stypie wróciłam do domu kompletnie wyczerpana. Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, uderzyła mnie cisza. Ciężka, dusząca, nienaturalna. Teraz zostałam sama. Naprawdę sama.

Powoli zdjęłam buty i poszłam do Pawła sypialni. Łóżka, w którym jeszcze kilka dni temu spał Paweł.

Na samą myśl ścisnęło mnie w gardle, ale nie miałam już nawet siły płakać. Po prostu położyłam się na jego miejscu i włączyłam telewizor tylko po to, żeby zagłuszyć tę przerażającą ciszę.

Ekran migotał, ktoś coś mówił, zmieniały się obrazy, ale kompletnie tego nie rejestrowałam. Patrzyłam przed siebie pustym wzrokiem. Miałam dość rozmów, płaczu, ludzi, słów współczucia. Dość całego tego dnia. Chciałam tylko, żeby wszyscy dali mi święty spokój.

W pewnym momencie usłyszałam dzwonek do drzwi. Zignorowałam go.

Jeśli to kolejna osoba z kondolencjami nie zamierzałam otwierać.

Minęła chwila ciszy. Potem dzwonek rozległ się ponownie. Dłużej. Natarczywiej.

Z irytacją zwlekłam się z łóżka i ruszyłam, aby sprawdzić kto to.

– Już idę... – mruknęłam pod nosem, ocierając twarz.

Otworzyłam drzwi i zamarłam.

W progu stał Adrian.

Przez sekundę miałam wrażenie, że sobie go wymyśliłam, że to kolejne okrutne przewidzenie mojego zmęczonego umysłu.

Ale on naprawdę tam był. W czarnej koszuli. Z rozwianymi włosami. Z tym samym poważnym spojrzeniem, które wbijał we mnie na cmentarzu.

I nagle kompletnie zapomniałam, jak się oddycha.

– Co ty tutaj robisz? – wyszeptalam, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Po co przyszedłeś?

Adrian przełknął ślinę. Wyglądał tak, jakby sam nie był pewien, czy powinien tu być.

– Musiałem cię zobaczyć... wybac.

Zaśmiałam się nerwowo, bardziej z rozpaczy niż z rozbawienia.

– Musiałeś? – powtórzyłam drżącym głosem. – Adrian, czy ty w ogóle rozumiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

– Rozumiem.

– Nie. Nie rozumiesz! – podniosłam głos.

– Właśnie pochowałam męża! Rozumiesz to?! Dzisiaj zakopali mojego męża!

Po moich policzkach zaczęły spływać łzy.

– Nie powinieneś tu być... – wyszeptalam. – Nie możesz tu być.

Patrzył na mnie w milczeniu. W jego oczach widziałam ból i napięcie.

– Próbowałem nie przychodzić – powiedział cicho. – Naprawdę próbowałem. Ale odkąd zobaczyłem cię w kościele... odkąd zobaczyłem cię na cmentarzu... nie mogłem przestać o tobie myśleć. Musiałem wiedzieć, czy sobie radzisz.

– Nie radzę sobie! – krzyknęłam.

– Kompletnie sobie nie radzę!

Uderzyłam go otwartą dłonią w klatkę piersiową. Raz. Potem drugi.

– To wszystko jest chore! Rozumiesz?! Chore! Powinnaś cierpieć po mężu, a ja... ja cały dzień myślę o tobie! O twoim dotyku! O twoim zapachu! Nienawidzę cię za to!

Głos załamał mi się całkowicie.

– Nienawidzę siebie jeszcze bardziej...

Odwróciłam się gwałtownie, chcąc zamknąć mu drzwi przed nosem.

Był szybszy. Delikatnie złapał mnie za nadgarstek.

– Nadia...

– Wyjdź stąd. Proszę, po prostu wyjdź.

Wtedy całkowicie się rozpadłam. Osunęłam się na podłogę w korytarzu i zaczęłam płakać tak mocno, że brakowało mi tchu.

Adrian natychmiast uklęknął obok mnie.

Próbowałam go odepchnąć, ale nie miałam już siły.

Po chwili przyciągnął mnie do siebie, a ja wtuliłam twarz w jego klatkę piersiową, nienawidząc siebie za to, jak bardzo potrzebowałam tego uścisku. Pachniał dokładnie tak samo.

I to mnie kompletnie zniszczyło.

– Nie powinieneś tu być... – wyszeptałam bez sensu.

– Wiem.

– To jest złe.

– Wiem.

– Powinam cię wyrzucić.

– Jeśli tego chcesz, wyjdę.

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego zapłakanymi oczami.

Nie odchodził.

Po prostu patrzył na mnie tak, jakby świat poza mną przestał istnieć. Jego dłoń powoli przesunęła się po moim policzku, ścierając łzy.

Zadrżałam.

– Powiedz, żebym wyszedł – wyszeptał.

Powinam była zatrzaskać mu przed nosem drzwi.

Powinam była oplakiwać Pawła.

Ale zamiast tego patrzyłam na jego usta.

I sekundę później to on pierwszy mnie pocałował. Zachłannie. Desperacko. Jakbyśmy oboje próbowali uciec od rzeczywistości.

Odpowiedziałam natychmiast.

Cały rozsądek, decyzja, którą podjęłam przestał istnieć. Była tylko rozpacz. Pożądanie.

I my.

Zapomniałam o wszystkim.

O śmierci.

O tym, że jeszcze kilka godzin wcześniej stałam nad grobem własnego męża.

Liczył się tylko ten moment. I to było równie piękne, co przerażające.

Drzwi zamknęły się z hukiem, a chwilę później jego usta znowu były na moich.

Całował mnie zachłannie, jak człowiek, który przez zbyt długi czas czegoś sobie odmawiał. Ja całowałam go równie desperacko, jednocześnie czując, jak po moich policzkach nieustannie płyną łzy.

Smakował moimi łzami. Moją rozpaczą.

Moją samotnością. Moim szaleństwem.

Dłonie Adriana błędziły po moich plecach, włosach, twarzy, jakby chciał upewnić się, że naprawdę tu jestem. Jakby sam nie wierzył, że pozwalam mu być tak blisko.

A ja lgnęłam do niego jeszcze bardziej.

Potrzebowałam zagłuszyć ból, przestać myśleć. Potrzebowałam na kilka minut zapomnieć, że kilka godzin wcześniej patrzyłam, jak trumna mojego męża znika pod ziemią.

Adrian uniósł mnie delikatnie i zaniósł do sypialni.

Do mojej sypialni.

Do łóżka, w którym kiedyś spałam tylko z Pawłem. I to powinno było mnie zatrzymać.

Powinnam była wtedy oprzytomnieć.

Ale byłam jak człowiek tonący, który chwyta się czegokolwiek, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nasze pocałunki stawały się coraz bardziej chaotyczne, bardziej rozpaczliwe. Między nimi wciąż płakałam. Czasami cicho, czasami niemal histerycznie.

– Przepraszam... – powtarzałam drżącym głosem, sama nie wiedząc, do kogo kieruję te słowa. Do Pawła? Do siebie? Do Adriana?

Adrian tylko przyciskał mnie mocniej do siebie i całował moje mokre policzki.

– Nadia... pragnę cię...

W jego głosie było tyle emocji, że niemal mnie to zniszczyło.

Przez krótką chwilę naprawdę udało mi się zapomnieć.

O wszystkim. Adrian rznął mnie jak dzikie zwierzę, mocno i gwałtownie. Nie czułam już nic. Ani bólu, ani przyjemności.

I nagle...

Otworzyłam oczy.

Spojrzałam na ścianę sypialni.

Na zdjęcie moje i Pawła stojące na komodzie. Uśmiechaliśmy się na nim podczas wakacji sprzed sześciu lat.

Szczęśliwi. Nieświadomi, że wszystko tak się skończy.

Zamarłam.

Całe powietrze momentalnie uleciało z moich płuc.

– Boże...

Odepchnęłam Adriana tak gwałtownie, że sam wyglądał na zszokowanego.

– Nie... nie... nie...

Zsunęłam się z łóżka, trzęsąc się cała.

– Co my robimy...?

Patrzyłam raz na zdjęcie Pawła, raz na Adriana i miałam wrażenie, że zaraz zwariuję.

– To jest chore... – wyszeptałam. – To jest pojebane!

– Nadia...

– Wyjdz.

– Posłuchaj mnie!

– WYJDŹ!

Zaczęłam szlochać jeszcze mocniej.

– Mój mąż został dziś pochowany! Rozumiesz?! Dzisiaj!
A ja... ja robię coś takiego w naszym łóżku!

Adrian podszedł bliżej, ale cofnęłam się natychmiast.

– Nie podchodź do mnie!

Zatrzymał się. Był blady, roztrzęsiony.

– Zakochałem się w Tobie!

Zamilkłam.

Patrzyłam na niego w kompletnym szoku.

– Co...?

– Kocham cię – powtórzył łamiącym się głosem. – I nie potrafię przestać o tobie myśleć. Próbowalem. Naprawdę próbowałem. Ale nie umiem.

– Nie dam ci spokoju, Nadia. Nawet jeśli będziesz mnie nie-nawidzić. Nawet jeśli będziesz mnie wyrzucać za każdym razem. Ja i tak będę wracał, bo nigdy jeszcze nie czułem czegoś takiego!

Pokręciłam głową, kompletnie rozbita.

– Wyjdź... proszę... po prostu wyjdź. Ty nie wiesz w ogóle co mówisz...

Przez chwilę patrzył na mnie tak, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy.

Potem powoli skinał głową.

I wyszedł.

A ja osunęłam się na podłogę obok łóżka i zaczęłam krzyżeć z bólu, którego nie potrafiłam już nazwać.

Nie spałam całą noc, a cały kolejny dzień przeleżałam w łóżku, patrząc w sufit. Lawirowałam gdzieś pomiędzy jawą a snem – między wspomnieniami z dzieciństwa a początkiem związku z Pawłem, kiedy jeszcze wszystko było proste i piękne.

Nagle, sama nie wiem, dlaczego, pomyślałam o kuzynce, z którą widziałam się na stypie. Kiedyś, za młodu, byłyśmy sobie bardzo bliskie. Na pożegnanie widząc mnie w fatalnym stanie powiedziała:

– Przyjedź na wieś. Wypoczniesz. Zregenerujesz siły. Zobaczysz, jak życie z dala od miasta, wśród zwierząt i natury, uspokaja.

Następnego dnia spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i pojechałam. Potrzebowałam zmiany otoczenia. Musiałam za wszelką cenę zapomnieć – o nim i o tym, co się między nami wydarzyło.

Podjeżdżając pod wielką, drewnianą bramę z napisem „Agroturystyka u Kamii”, uśmiechnęłam się pod nosem.

Posiadłość wyglądała jak sceneria z filmu – stary, duży dom z okiennicami, skryty pośród drzew. Za bramą rozciągał się ogromny teren, znacznie większy niż zapamiętałam będąc tu ostatni raz kilkanaście lat temu.

Po obu stronach wąskiej, żwirowej drogi ciągnęły się pastwiska otoczone drewnianymi płotami.

Najpierw zobaczyłam konie. Kilka dostojnych zwierząt spokojnie pasło się na łące, poruszając leniwie ogonami. Jeden z nich uniósł łeb i spojrzał w moją stronę, jakby oceniał, kto zakłóca jego spokój. Niedaleko, przy stajni, biegały dwa źrebaki, pełne energii i zupełnie nieświadome swoich jeszcze niezgrabnych ruchów.

Z drugiej strony usłyszałam głośne muczenie. W zagrodzie stały krowy, a obok nich małe cielaczki na chudych nogach, które chwiały się przy każdym kroku. Jeden z nich podszedł do ogrodzenia i patrzył na mnie wielkimi, ciemnymi oczami. Mimowolnie się uśmiechnęłam.

Kawałek dalej po podwórzu spacerowały kury, jakby to one były prawdziwymi właścicielkami tego miejsca. Co chwilę przebiegały przede mną, gdacząc oburzonym tonem. Między nimi dumnie przechadzał się kogut o lśniących piórach.

Dostrzegłam też kaczki, kilka gęsi robiących niewiarygodny hałas, kozy wspinające się po drewnianych belkach, owce wtulone w siebie w cieniu starej stodoły, a nawet dwa leniwe koty wygrzewające się na schodach domu. Gdzieś w oddali szczekał pies.

Powietrze pachniało sianem, ziemią i latem. Wokół panował chaos dźwięków – gdakanie, rzenie, beczenie i odgłosy maszyn pracujących gdzieś na polu – a jednak wszystko to było dziwnie kojące.

Po raz pierwszy od wielu dni poczułam, że moje myśli choć na chwilę przestały krążyć wyłącznie wokół niego.

– No nie wierzę... Przyjechałaś! – pisnęła z zachwytu Kamila.

– Tak... – odpowiedziałam z uśmiechem.

Kuzynka rzuciła mi się na szyję tak spontanicznie, że aż się roześmiałam. Jej perfumy pachniały wanilią i czymś świeżym, znajomym – dokładnie tak, jak zapamiętałam z dzieciństwa.

– Myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz... – powiedziała, odsuwając mnie na długość ramion i mierząc wzrokiem od stóp do głów. – Wyglądasz... lepiej...

Uniósł się kącik moich ust.

– To komplement?

– Ogromny. Chodź, wszyscy czekają.

Spojrzałam za jej plecy na rozświetlony dom i ludzi krzątających się po ogrodzie. Jeszcze godzinę wcześniej byłam kłębkim nerwów. Teraz jednak, stojąc obok Kamili i słysząc jej szczery śmiech, poczułam coś, czego brakowało mi od dawna.

Spokój.

Może naprawdę dobrze zrobiłam, że tu przyjechałam.

– Chodź, wszystkich ci przedstawię – powiedziała Kamila, splatając swoją dłoń z moją i ciągnąc mnie w stronę ogrodu.

– Właśnie dziś rano przyjechał też brat mojego męża. Za chwilę go poznasz.

– Naprawdę? – zapytałam, próbując brzmieć swobodnie.

– Tak. Ostrzegam tylko, że potrafi zrobić wrażenie – zaśmiała się cicho. – Kobiety zwykle od razu padają mu do stóp.

Przewróciłam oczami z rozbawieniem.

– Spokojnie, mi to nie grozi...

– Oj, przestań. Przyjechałaś to przecież odpocząć i zapomnieć prawda?

Weszliśmy między ludzi, a ja czułam na sobie zaciekawione spojrzenia. Kamila z entuzjazmem przedstawiała mnie kolejnym osobom, ale moje myśli na chwilę odpłynęły, gdy przy tarasie zauważyłam wysokiego mężczyznę stojącego tyłem do nas.

Miał szerokie ramiona i ciemne włosy, a kiedy odwrócił się powoli, jakby wyczuwając mój wzrok, na moment zabrakło mi tchu.

Był podobny do Adriana – tylko starszy. Starszy i jeszcze bardziej męski.

Zamarłam.

Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana, a w głowie znów miałam kompletny chaos.

– Ja pierdolę – przemknęło mi przez myśl.

Czy los właśnie bezczelnie śmieje mi się prosto w twarz? Dlaczego znowu stawia na mojej drodze mężczyznę, który wygląda jak przypomnienie wszystkiego, od czego próbowałam uciec?

Mężczyzna uniósł kieliszek do ust, a potem spojrzał prosto na mnie. Jakby wyczuł moje spojrzenie. Jakby wiedział.

I wtedy się uśmiechnął. A mnie momentalnie zabrakło powietrza.

Spuściłam wzrok na ziemię, próbując uspokoić oddech, a potem spojrzałam na Kamilę. Patrzyła na mnie z uśmiechem, kompletnie nieświadoma tego, co właśnie działo się w mojej głowie.

– Wszystko w porządku? – zapytała, marszcząc brwi.

Ale ja nie potrafiłam odpowiedzieć.

Czułam, jak ogarnia mnie panika. Jak ściska mi gardło, odbiera powietrze i zdrowy rozsądek. Nie mogłam tam zostać. Nie mogłam znowu przez to przechodzić.

Bez słowa odwróciłam się na pięcie.

– Hej! Gdzie ty...? – usłyszałam jeszcze głos Kamili.

Nie zatrzymałam się. Niemal biegiem przemknęłam przez ogród, potem przez podjazd. Drżącymi dłońmi wyciągnęłam kluczyki z torebki i wpadłam do samochodu.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi, jakby mogły odciąć mnie od całego świata.

Oddychałam szybko i płytko, próbując powstrzymać łzy.

– Nie... nie, nie, nie... – wyszeptałam, zaciskając dłonie na kierownicy.

To nie mogło dziać się naprawdę

Po chwili usłyszałam szybkie kroki na podjeździe.

– Otwórz! – krzyknęła Kamila, stukając nerwowo w szybę. – Co się dzieje? Otwórz te drzwi!

Szarpnęła za klamkę, ale zamknęłam się od środka.

– Proszę cię, odezwij się! – jej głos nagle złagodniał. – Przestraszyłaś mnie...

Ale ja byłam jak sparaliżowana.

Siedziałam nieruchomo, wpatrując się w kierownicę, jakby odpowiedzi miały pojawić się właśnie tam. Dźwięki z zewnątrz zaczęły do mnie docierać jak przez grubą warstwę wody – przytłumione, odległe, nierzeczywiste. Nie wierzyłam w to, co właśnie się wydarzyło.

To było niemożliwe.

Niemożliwe, żeby ten mężczyzna był aż tak łudzaco podobny do Adriana. Ten sam profil twarzy. Te same ciemne włosy. Ten sam sposób patrzenia, od którego kiedyś miękły mi kolana. Nawet uśmiechał się niemal identycznie.

Jakby ktoś stworzył jego starszą wersję.

Albo jakby przeszłość właśnie postanowiła wrócić i rozerwać mnie od środka.

Poczułam, jak po policzkach zaczynają spływać mi łzy.

– To niemożliwe... – wyszeptałam drżącym głosem. – To po prostu niemożliwe...

Kamila nadal stała za szybą, kompletnie zdezorientowana.

Kiedy w końcu trochę się uspokoiliłam, drżącą dłonią odblokowałam drzwi. Kamila niemal od razu je otworzyła i bez słowa wciągnęła mnie w ramiona. Mocno mnie wyściskała, potem ucałowała w czoło, jakby próbowała posklejać mnie samą swoją obecnością.

– Boże, tak mnie przestraszyłaś... – wyszeptała.

A ja nagle poczułam coś, czego nie czułam od bardzo dawna. Zaopiekowanie.

Ciepło.

Poczucie, że jestem dla kogoś ważna. Że ktoś naprawdę się o mnie martwi.

I właśnie to sprawiło, że pękłam jeszcze bardziej. Łzy znów napłynęły mi do oczu.

– Co się stało? – zapytała cicho Kamila, odsuwając się ode mnie tylko na tyle, żeby spojrzeć mi w twarz. – Proszę... powiedz mi.

Wzięłam drżący oddech.

– Ja... ja nie mam już siły tego ukrywać – wyszeptalam.

Kamila patrzyła na mnie uważnie. Bez oceniania. Bez pośpiechu. Otarłam policzki i spojrzałam na nią błagalnie.

– Wsiądź proszę do samochodu.

– Dobrze...

Usiadła obok mnie, cicho zamykając drzwi.

Przez chwilę obie milczałyśmy. Słysząc było tylko nasze nierówne oddechy.

Zacisnęłam dłonie na kolanach.

– Muszę ci opowiedzieć o Adrianie.

Wypowiedzenie jego imienia na głos zabolalo bardziej niż się spodziewalam.

– O romansie, który kompletnie mnie niszczy...